

Samuel Tchorek-Bentall

Kronika klęsk elementarnych

Stan niepewności kształtował odmienną psychikę ludności, której życie biegło raczej z dnia na dzień, bez perspektywy na dalszą metę, w ciągłej obawie o swój los.
historyk Antoni Walawender, 1935

I

Smutno mi, Boże, gdy zanurzam się w najnowszej książce Zbigniewa Mentzla. Jakież tu życie jest szare i smutne! Jacyż ludzie samotni i zbędni! Jakież ich słowa wyblakłe i puste! Główny bohater tej posępnej powieści, człowiek o imieniu Miłosz (nie, nie chodzi o Czesława), towarzyszy mi dziś w mym smutku. Jestem z nim złączony w zgryzocie mojej, odkąd spotkałem go po raz pierwszy w słodkawo-mdlącym zapachu świeżo upranej pościeli jego rodziców, na której widniał dwuliterowy monogram wyhaftowany jedwabną purpurową nicią – „inicjały dwóch imion – jak wyjaśniał narrator – splecione ze sobą w mocnym uścisku”. Nie były to jednak inicjały jego ojca i matki. Były to inicjały jego matki i jej pierwszej i jedynej miłości, mężczyzny, który zginął w pierwszym miesiącu Wojny, pozostawiając po sobie jedynie pościel poślubną, na której Miłosz został poczęty ponad dziesięć lat później, w okolicach roku 1951. Tak oto przy pierwszym naszym spotkaniu na pierwszej stronie jego historii przeczuwałem już z bojaźnią nieprzepartą, że dalsze losy Miłosza naznaczone będą niespełnieniem. Więc doceniam jego opanowanie przy opowiadaniu dziejów Miłosza od jego narodzin w czasach stalinizmu do starości w czasach pandemii, smutno mi, Boże!

Jedno z dwóch mott powieści – „Tę historię opowiedziano mi z prośbą, abym jej nikomu nie powtarzał; dlatego właśnie chcę ją opowiedzieć wszystkim” – Mentzel zapożyczył z Baudelaire’a, na ogół jednak stara się on, jak może, uniknąć Baudelaire’owskiego przemieszania nikkczemności i wzniosłości. Miłosz jest od początku do końca postacią z w y c z a j n ą, a w dodatku p r a w ą w sposób, by tak rzec, drobnomieszczański. Wrażliwości na cierpienie innych istot nauczył się podczas wakacyjnych przygód wędkarskich na pięćset sześćdziesiątym szóstym kilometrze Wisły, licząc od jej źródła. Miejscowy rybak Czesław Bojanowski pokazał któregoś dnia dwunastoletniemu Miłoszowi niemal metrową brzanę umierającą na dnie trumiennego czółna. Refleksja: „Czy brzana czuje ból? Czy cierpi, a jeśli tak, czy jest tego świadoma?”. Dwunastoletni Miłosz, narrator, przyznaje, nie zastanawiał się jeszcze wtenczas, czy można cierpieć, a równocześnie być nieświadomym faktu, że się cierpi, niemniej jednak od widoku umierającej brzany z wytrzeszczonymi oczami nigdy już nie zdołał się uwolnić.

Co też wyszło mu na dobre, przynajmniej jeśli chodzi o jego kontakty z dziewczynami. Bo oto Blanka, koleżanka z liceum Miłosza na Saskiej Kępie, uznawana przez niego za Miss Świata jego małego świata, zaprosiłszy go pewnego

czerwcowego dnia na wycieczkę rowerową, kazała mu powiedzieć coś ciekawego. Nie lada ambaras, dalibóg. Albowiem cóż mógł on, syn aptekarza z tandetnego gomulłowskiego osiedla, który do szesnastego roku życia nigdy na własne oczy nie widział zdjęcia nagiej kobiety, powiedzieć ciekawego długonogiej, szarookiej i zagadkowo uśmiechniętej Blance? Nie miał pojęcia. Ale na szczęście niewidzialny duch, który mimo pozornej niepozorności Miłosza towarzyszył mu we wszystkich jego perypetiach życiowych, i tym razem przyszedł mu z pomocą. Duch Baudelaire'a bezsprzecznie kazałby mu w takiej sytuacji wyrzec jakieś świństwo, duch Miłosza za to, prawy i roztropny, kazał mu opowiedzieć Blance, dlaczego porzucił swoje wędkarskie ambicje. Fragment dialogu:

- To znaczy, że kiedyś łowiłeś ryby, a teraz ich nie łowisz? Dlaczego?
- Bo ryby to jedyne stworzenia, które mają oczy pozbawione powiek. Dlatego są symbolem wiecznego czuwania. Nie mogę ich kaleczyć. Nie mogę ich zabijać.

Choć tydzień później Miłosz zobaczył Blankę idącą ulicą Francuską przytuloną do jakiegoś „wysokiego przystojnego mężczyzny” (proza Mentzla poprzetykana jest fotograficznymi opisami tego rodzaju), to jednak, narrator zapewnia, „czuł, że egzamin, jaki Miss Świata urządziła mu na wiślanej skarpie, zdał, może nie na piątkę, ale na cztery minus”. Innym natomiast mogłoby się wydawać, że gdyby za swoich czasów szkolnych traktowali wycieczkę rowerową z koleżanką jako egzamin urządzony im przez Miss Świata, najprawdopodobniej nie zasługivaliby nawet na cztery minus, zwłaszcza w oczach rzeczzonej koleżanki.

W ten sposób wylania się z mgły epizodycznych szkiców biograficznych zasadnicza słabość powieści Mentzla. Z jednej strony pragnie ona być „do bólu szczerą”, odważnie opisując życie seksualne polskiego inteligenta w czasach PRL i transformacji, od przemocy seksualnej, której Miłosz padł ofiarą w wieku dziewięciu lat, po spotkania z prostytutkami na pigalaku przy Emilii Plater. Z drugiej strony odnoszę wrażenie, że od pierwszego do ostatniego rozdziału przedsięwzięcie Mentzla to całkiem tradycyjna *apologia pro vita sua*, w której autor usiłuje przedstawić czytelnikowi swoje osiągnięcia i wyjaśnić, jak umie, swoje przywary. Apologie na ogół nie są dobrą literaturą. Mentzel szczególnie krucho wypada, kiedy próbuje w korzystnym świetle przedstawić swoją, to znaczy Miłosza, polityczną biografię. Na przykład w jednym ze środkowych rozdziałów, wyjaśniając, dlaczego musiał się pożegnać z karierą naukową na Uniwersytecie Warszawskim, opowiada z nutą dumy i goryczy o swojej recenzji książki *Literatura wobec wojny i okupacji*, którą w latach siedemdziesiątych XX wieku opublikował w „Polityce”. Tydzień po jej ukazaniu się, narrator opowiada, dyrektor instytutu, w którym Miłosz pracował, wezwał go na dywanik, żeby wśród wielce złowrogiego dymu papierosowego wyjaśnić mu, dlaczego ich współpraca musi dobiec końca. Cytuję:

- Niech pan słucha – docent mocno zaciągnął się carmenem. – Niech pan słucha, to przecież pan napisał:

Forma literacka potrzebna dzisiaj do wyrażenia duchowych treści, które zaczynają się w nas krystalizować, nie może być formą propagandowej czytan-ki. Czarno-białe schematy, natrętny moralizm, patriotyczne frazesy to dziś wy-raz braku zaufania do społecznej zdolności samodzielnej oceny naszej historii. W zetknięciu z nową rzeczywistością stare, bezkrytycznie przejmowane z trady-cji narodowej formy ulegają zużyciu, okazują się bezużyteczne, puste, kłamliwe...

Zasadniczo zgadzam się z poglądami, które Men... *pardon*, Miłosz wyraził w swojej recenzji opublikowanej w latach siedemdziesiątych minionego wieku na łamach „Polityki”. Dodałbym tylko, że do wyrażenia duchowych treści, któ-re zaczynają się w nas krystalizować, a także do tworzenia literatury, którą war-to byłoby dziś czytać, nie wystarczy nam forma trwożnie dysydenckich czytanek publikowanych w tamtych latach na łamach „Polityki”. W zetknięciu z nową rze-czywistością stare, bezkrytycznie przejmowane z tradycji postępowej formy ule-gają zużyciu, okazują się bezużyteczne, puste, kłamliwe... Słodko i zaszczytnie jest powielać stare, bezkrytycznie przejmowane z tradycji i własnego pisarstwa frazesy publikowane w latach siedemdziesiątych XX wieku na łamach „Polityki”.

Bardziej przychylnym czytelnikom mogłoby się wydawać, że autobiograficz-na powieść Mentzla nie jest wcale nieuświadomionym wyrazem ograniczone-go horyzontu moralnego i duchowego, lecz głęboko przemyślanym i krytycznie przepracowanym opisem tego ograniczenia: Miłosz jest osobą, Mentzel zdaje się twierdzić, która nigdy nie nauczyła się „wyrażać siebie w pełni” – ani emocjo-nalnie, ani intelektualnie, ani seksualnie – i dlatego błędzi od kobiety do kobie-ty i od pracy do pracy, z żadną nie umiejąc się utożsamić. Miłosz, w terminologii powieści, nie potrafi krzyczeć:

Kiedy przyszedł na świat, długo nie wydawał z siebie głosu. Położna odcięła pępowinę i kilka razy uderzyła go w pośladek.

– Krzycz!

– No, krzycz!

– Krzycz! Teraz!

Dopiero za trzecim uderzeniem rozdarł się na całą porodówkę.

Pod koniec powieści dowiadujemy się o incydencie, w którym Alicja, przy-jaciółka Miłosza, postanowiła „sama się wypierdolić” w jego obecności. Coraz szybciej poruszając między udami, rozkazała mu: „Krzycz! Teraz! Bądź ze mną!”. „Ale Miłosz nie wydawał z siebie głosu”.

Tę niezdolność do krzyku Mentzel odnosi także do edukacji Miłosza na uni-wersytecie pogrążonym w marazmie po wydarzeniach marca 1968 roku. Histo-ria znana wielu studentom polskich uczelni: początkowa ekscytacja myślą o tych wszystkich ożywionych dyskusjach i porywających wykładach, spotęgowana do-datkowo wyobrażeniami o szalonym życiu studenckim zaczerpniętymi z ame-rykańskiej popkultury, stopniowo ustępuje wraz z narastaniem świadomości, że uniwersytet polski jest instytucją wydaną na pastwę biurokratów i badaczy

owadzych nogów. Miłosz ze swej strony ożywił się nieco dopiero wtedy, kiedy zajęcia z gramatyki historycznej zaczęła prowadzić młoda doktorantka „ubrana w krótką spódnicę i obcisłą bawełnianą koszulkę z napisem SEX – BREAKFAST OF CHAMPIONS”. („Miłosz czuł – narrator dodaje, żeby broń Boże nie było – że gdyby nie była kompetentna, nie byłaby też tak zmysłowa”). Równie podniecony chciał być Miłosz postacią charyzmatycznego Magistra – nienazwanego w powieści, ale jawnie wzorowanego na Andrzeju Mencwelu – który prowadził zajęcia z historii kultury, a także, według zeznań narratora, traktował swoje studentki „z lekceważeniem, a nawet po chamsku, klepiąc je na korytarzu po pupach”. Duże nadzieje pokładał Mentzel, to znaczy Miłosz, w dyskusji o eseju Brzozowskiego *Kultura i życie*, którą Mentzel... zaraz, Mencwel, to jest, chciałem napisać, Magister, uf, zapowiedział na pierwszych zajęciach. Tekst Brzozowskiego dał Miłoszowi wiele do myślenia, w szczególności jego „trzy ostatnie zdania” (cztery, tak naprawdę, ale mniejsza o to): „Głębsze od wszelkich ujawnionych głębi, szersze i bardziej tajemnicze jest życie. Nie mierzmy go tylko swym znużeniem i nudą. Będzie ono większe od naszych przewidywań. Nie skazujmy więc wielkości w sobie na rolę nieziszczalnych marzeń”. Cały esej wydał się Miłoszowi aktem oskarżenia skierowanym przeciwko współczesnej Brzozowskiemu kulturze, kulturze pozbawionej powagi i godności, nieszczerzej i cynicznej, nieporadnej jak niemowlę i niedołążnej jak starzec, a przede wszystkim – uporczywie niezainteresowanej rzeczywistością. Miał przy tym nadzieję, że dyskusja prowadzona przez Magistra dotyczyć będzie możliwego znaczenia też Brzozowskiego dla jego, Miłosza, rzeczywistości, dla życia duchowego obywatela Polski Ludowej zlaknionego głębi i tajemnicy. „Swoboda niezupełna staje się brakiem wszelkiej swobody” – od tej sentencji dyskusja powinna była się rozpocząć. Cóż jednak, jeżeli o własnej współczesności Magister zasadniczo nie chciał rozmawiać, skupiając się zamiast tego na czczej teorii kunsztownie ujętej przy pomocy ciągu mdlących popisów retorycznych, po wysłuchaniu których Miłosz opuścił salę z pustką w głowie.

II

Rozmyślając nad pustką w głowie Miłosza, nad znaczeniem eseju Brzozowskiego dla tej pustki i nad swobodą niezupełną przemieniającą się w zupełną nieswobodę, moje myśli powędrowały w stronę eseju Orwella *The Prevention of Literature*, najbardziej wpływowej obrony całkowitej swobody twórczej, na jaką zdobyła się epoka totalitaryzmu. Orwell starał się tam dowieść, że nawet jedno pozornie nieszkodliwe tabu potrafi mieć zgubny wpływ na nasze życie duchowe, ponieważ będąc pod jego wpływem, nigdy nie możemy być pewni, że w swobodnej grze wyobraźni i myśli nie napotkamy tej jednej zakazanej kwestii. Wielka proza na ogół powstaje w czasach największego rozkwitu wolności słowa i swobody myśli, a zamiera w okresach podporządkowania myśli nadrzędnym doktrynom czy sprawom społecznym. Pisarz, który część swojej wiedzy i wyobraźni musi ukrywać przed bacznym spojrzeniem swoich zwierzchników, skazuje swoją inwencję na wyschnięcie. Czy jakkolwiek pobożny katolik był równocześnie wybitnym powieściopisarzem? Jeśli spontaniczność twórcy nie jest w stanie dojść

do głosu, wtedy nie może być mowy o dziele literackim godnym swojego miana, a język kamienieje, przemieniając się w stertę wyuczonych frazesów. Historia reżimów totalitarnych pokazuje, że utrata osobistej swobody jest jednoznaczna z wyrokiem śmierci na wszystkie formy literatury: dopiero kiedy oficjalna doktryna przestaje być traktowana serio, autentyczny głos pisarza znowu staje się słyszalny. Esej Brzozowskiego, o czterdzieści lat wcześniejszy, zdaje się dawać świadectwo temu samemu przekonaniu: „Wszelki dogmatyzm kończy i musi kończyć samobójstwem. Zagładza się on. Wynika to z samej natury jego. Swoboda niepełna staje się brakiem wszelkiej swobody. Kultury cząstkowe mrą na swoją cząstkowość. Kultura i swoboda to równoznaczniki”. A zatem zarówno Orwellowi, jak i Brzozowskiemu utrata indywidualnej wolności wydawała się największym niebezpieczeństwem dla wszystkich gatunków literatury.

Ale na tym kończy się podobieństwo między nimi. Orwell za największych wrogów jednostkowej wolności uważał totalitarne państwo i jego apologetów wśród elit intelektualnych państw liberalnych. Wstrętem napawali go zręczni sofiści Stalina, którzy udowadniali, że swoboda myśli jest przebrzmiałym wymysłem drobnomieszczańskiego indywidualizmu, a skoro wyłącznie w bezklasowym społeczeństwie ludzie mogą być naprawdę wolni, wszystkie tradycyjne formy autonomii nie mają żadnej wartości. Pisarz traci wolność, uważał, kiedy zmuszony jest zatajać fakty, które wydają mu się ważne, albo kiedy musi fałszować swoją osobistą wizję, z jego punktu widzenia będącą faktem najdonioślejszym. Wszystkie wywody, które zmierzają do zatuszowania tej prostej prawdy, są niczym innym niż perwersyjnym aktem samozniszczenia, którego rozum dokonuje na samym sobie. Tak więc dla Orwella, myślałem, człowiek rodzi się wolny, a tylko państwowa cenzura wszędzie nakłada na niego kajdany. Gdyby władza zakłamanych despotów w końcu dobiegła końca, wówczas najważniejsza bariera stojąca na drodze do swobodnej samorealizacji wszystkich jednostek zostałaby naraz zniesiona. Pisarze są zniewoleni przede wszystkim wtedy, gdy są świadomi swojego zniewolenia, gdy wiedzą, że mają lubić to, czego w rzeczywistości nie lubią, i wierzyć w to, w co nigdy nie uwierzą.

Brzozowskiemu natomiast taka analiza wydawałaby się dość powierzchowna. Chociaż sam musiał liczyć się na co dzień z carską cenzurą – jedynie dzięki jej osłabieniu podczas rewolucji 1905 roku mogły na przykład paść w *Kulturze i życiu* nazwiska Marksa i Engelsa – to jednak nie przywiązywał do niej szczególnej wagi, przynajmniej jeśli chodziło o fundamentalną kwestię swobody twórczej. Od carskich urzędników o wiele groźniejszymi wrogami swobodnej i samowładnej twórczości ludzkiej wydawali mu się cnotliwi szermierze życia dogodnego, którzy utrzymywali, że treść wszelkich przekształceń społecznych bez reszty wyczerpuje ich strona ekonomiczna, a wszystkie zagadnienia „wyższej kultury” są sprawą „czysto subiektywnych odczuć i mniemań”. Zgodnie z jego własną wykładnią marksizmu moralne postulaty ruchów społecznych budzących się do życia w jego czasach nie mogły być jedynie wytworem warunków ekonomicznych, lecz musiały wyrażać uniwersalną potrzebę człowieka, żeby stać się znowu suwerenem w królestwie własnych bogactw duchowych. Rewolucja nie

po to była konieczna, żeby centrum ciężkości materialnych interesów przeniosło się z jednej grupy (węższej) na drugą (szerszą), lecz po to, żeby zostały wyzwolone wszystkie rwące się do życia siły, które dotychczas znajdowały się pod panowaniem „ekonomizmu”. Polityczne walki swoich czasów interpretował jako próbę stworzenia pierwszej w historii prawdziwie bezinteresownej kultury, w której człowiek i twórczość byłiby ze sobą tożsami, a każdy, kto by chciał, mógłby żyć „miłością, sztuką, sobą, przyrodą”. Dla Brzozowskiego zatem wolność oznaczała możliwość swobodnego rozwijania drzemiących w każdej osobie zdolności bez konieczności odbierania swobody innym w imię swobody własnej. Nawet gdyby carska cenzura została zniesiona z powierzchni ziemi wraz ze wszystkimi innymi narzędziami światowego despotyzmu, ludzie niekoniecznie staliby się wolni, ponieważ wciąż nie wszyscy potrafiliby korzystać z własnych talentów i podążać własnymi, samodzielnie obranymi ścieżkami. Poza tym nie wystarczyłoby według Brzozowskiego czuć się wolnym, żeby być wolnym w istocie. (Tylko Brytyjczycy, twierdził Hegel, potrafiliby tak prostacko pojmować ideę wolności). Najbardziej zniewolony byłby ten umysł, któremu niczego by już nie brakowało.

III

Wracając do Mentzla: młodemu Miłoszowi wydaje się, że Magister rezygnuje z rzeczywistości, zamiast konfrontacji z istniejącą polską kulturą wybierając ucieczkę w sferę czystej teorii. A więc, w kategoriach Brzozowskiego, Magister należałby do grupy tych przedstawicieli „współczesnej umysłowości polskiej”, którzy, rezygnując z rzeczywistości, „nie zastanawiają się nad tem, jakie znaczenie może mieć to, co mówią oni i piszą poza ulgą, jaką sprawia wypowiedzenie się”. Kategorie Brzozowskiego były jednak nieco bardziej subtelne, niż mogłoby się młodemu Miłoszowi wydawać na pierwszy rzut oka. Analiza współczesności, dowodził w *Kulturze i życiu*, nie wymaga tylko jasnego powiązania „ideowości” z „rzeczywistością”, ponieważ we współczesności „zachodzą fakty, których zrozumienie wymagałoby wyjaśnienia *wielu prawie czysto oderwanych zagadnień*”. Miłosz, oczekując od Magistra, że po jednej dyskusji seminaryjnej pozwoli mu ujrzeć jasno i wyraźnie związek między myślą Brzozowskiego a rzeczywistością komunistycznej Polski, ujawnia swoją przynależność do drugiej grupy ludzi, przeciwko którym Brzozowski występował w swoim eseju, mianowicie tych, którzy „z niecierpliwą wzdrganą, w najlepszym razie z protekcyjną pobłażliwością traktują wszystkie rozprawy, z których nie wypływa bezpośrednio żaden praktyczny wniosek, które nie zwalczają czegoś w obecnych stosunkach, nie usuwają lub nie przekształcają”. Leszek Kołakowski, którego Mentzel, jak słyszałem, uważa za swojego nauczyciela, najlepsze lata swojego życia poświęcił studiom nad pismami siedemnastowiecznych mistyków. Ciekaw jestem, co młody Miłosz wyniósłby z zajęć Leszka Kołakowskiego.

A przecież mogło być inaczej. Wprawdzie na swoich zajęciach Miłosz nudził się śmiertelnie, ale w sali katalogów Uniwersytetu Warszawskiego wracała mu namiętność do lektur. Z pasją przeglądał setki drewnianych szufladek pełne pożółkłych ze starości fiszek z tytułami książek, których nikt prócz niego nie chciał wypożyczać: *Raporty warszawskich oberpolicmajstrów*, *Kronika klęsk*

elementarnych..., *Zielnik czarodziejski to jest zbiór przesądów o roślinach*, *Historia okulistyki w dawnej Polsce*, *Kanalizacja miasta Warszawy jako narzędzie judaizmu i szarlataneryi w celu zniszczenia rolnictwa polskiego oraz wytępienia ludności słowiańskiej nad Wisłą*, *Wit Stwosz. Rzeźbiarz chorób skórnych*, *Zagadnienie żebractwa*, *Podręcznik higieny wojskowej dla oficerów i podchorążych...* Był przy tym przekonany, informuje narrator, że we wszystkich tych świadectwach ludzkiej wyobraźni znajdzie dla siebie coś istotnego, jakąś tajemną naukę, którą będzie mógł kiedyś wykorzystać, blakając się po ścieżkach swojego życia. Po jakimś czasie zaczął się jednak zastanawiać, czy te wszystkie egzotyczne tomy nie sprawiły, że „staje się dziwakiem, kimś oderwanym od rzeczywistości, samotnym, zbędnym”. „Po latach – narrator podsumowuje – Miłosz będzie prawie pewny, że gdyby mając dziewiętnaście lat, zamiast wszystkich swoich fanaberyjnych lektur przeczytał jedną, jedyną książkę – *Zniewolony umysł* – jego życie potoczyłoby się inaczej”. Innymi słowy, główny problem młodego Miłosza polegał na tym, że nie czytał starego Miłosza. Brakowało mu Nauczyciela, który wskazałby mu drogę do wolności, który wyjaśniłby mu, dlaczego „swoboda niezupełna staje się brakiem wszelkiej swobody”. Ale jakiej to swobody według Mentzla brakowało Miłoszowi? Z pewnością nie takiej, która pozwoliłaby mu chodzić własnymi drogami myśli. Taka swoboda zawiodła go tylko w rejony przeróżnych „fanaberyjnych lektur”, które sprawiły, że zaczął przemieniać się w oderwanego od rzeczywistości dziwaka. Brakowało mu raczej swobody, która w mniemaniu wyznawców Czesława Miłosza i George’a Orwella powinna była nastąpić po runięciu panowania Moskwy nad narodami. Gdyby tylko cenzura czerwonych carów osłabła na tyle, żeby młodemu Miłoszowi „udostępnić dostęp” (ulubiona fraza Mentzla) do śpiewu wolności dochodzącej z Maisons-Laffitte, wtedy zniknęłyby z czasem wszystkie przeszkody odbierające mu możliwość twórczego samorozwoju.

Choć niewątpliwie zrozumiała w kontekście umysłowości polskiej lat siedemdziesiątych XX wieku, taka diagnoza wydaje mi się w najwyższym stopniu podejrzana, gdyż oparta jest na przeświadczeniu, że wolność od represyjnej władzy jest warunkiem wystarczającym pełnej wolności twórczej. Aby się przekonać, że to przeświadczenie jest błędne, wystarczy zastanowić się nad lękiem, jaki młody Miłosz odczuwał, kiedy oddawał się swoim „fanaberyjnym lekturom” – lękiem, który pozostał w nim jeszcze na długo po tym, jak w katalogu biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego pojawił się tytuł *Zniewolony umysł*. Umysł młodego Miłosza nie był zniewolony myślą o nieodzownym zwycięstwie Moskwy nad zgniłym Zachodem. Umysł młodego Miłosza był zniewolony przez elementarny strach, jaki żywił przed łatką oderwanego od rzeczywistości, zbędnego i samotnego dziwaka. Podobnie Miłosz-niemowlę bało się pójść za własną naturą, kiedy położna odcięła mu pępowinę i kilka razy uderzyła w pośladek.

W kontekście tej samej umysłowości polskiej lat siedemdziesiątych minionego stulecia jest również zrozumiałe tak silne wrażenie, jakie wywarło dictum Brzozowskiego o niechybnym przeobrażeniu swobody niezupełnej w zupełną nieswobodę na młodym Miłoszu. Tęsknota za niczym nieskrępowaną wolnością jest naturalna wtedy, kiedy nawet wolność niezupełna jest odległym marzeniem.

Wtedy wizja prawdziwego Odrodzenia w Swobodzie i Twórczości, jaką Brzozowski wraz z innymi poszukiwaczami absolutu przedstawili w swoich dziełach – ku pokrępieniu serc – pozostawia najtrwalszy ślad w niezdolnych do krzyku umysłach. W zaciszu naszego codziennego mozołu wszyscy rzewnie wypatrujemy dnia, w którym „człowiek zacznie naprawdę tworzyć i rozwijać swe siły”, w którym „namiętności spotężnieją” i „zniknie niwelująca moc troski o byt”, a „siła bezinteresownych entuzjasmów przekroczy miarę nam znaną”, w którym „ludzie będą przeżywali przekraczające wszelkie wyobrażenia nasze swą głębią tragedie czysto metafizyczne” i „wstrząsać nimi będą groźne konflikty i antagonizmy ideowe”. Można jednak mieć wątpliwości, czy w utopijnym królestwie ducha wyzwolonego wszystko rzeczywiście byłoby, jak Brzozowski uważał, „wspaniałe, potężne i tragiczne”; czy gdyby naprawdę zniknęła „niwelująca moc troski o byt”, ludzkie namiętności wciąż miałyby na co się nakierować; czy „bezinteresowne entuzjazmy” zachowałyby jakąkolwiek siłę; czy w oderwaniu od tragedii świata ziemskiego „tragedie czysto metafizyczne” miałyby jakąkolwiek głębię; czy gdyby wygasły wszystkie konflikty i antagonizmy osobiste, społeczne i polityczne, „konflikty i antagonizmy ideowe” komukolwiek wydawałyby się groźne. Zresztą nie jest wcale pewne, że sam Brzozowski czułby się szczęśliwy w swoim upragnionym królestwie wolności. Czy umiałby pisać z właściwą sobie pasją, gdyby zabrakło mu owych uciekinierów z rzeczywistości i wrogów ideowości, na tępcie których miał w zwyczaju ostrzyć swój umysł? Andrzej Mencwel twierdzi, że Brzozowski wszystkie swoje spostrzeżenia, analizy, interpretacje i oceny odnosił do wizji przyszłości zawartej w *Kulturze i życiu*, ale równie słuszna byłaby teza, że wszystkie swoje spostrzeżenia, analizy, interpretacje i oceny odnosił do swojej wizji polskiej współczesności – gnuśnej, naiwnej i zniewolonej. Może i swoboda niezupełna staje się brakiem wszelkiej swobody, ale swoboda zupełna staje się zubożeniem wszelkiej swobody. Prawdziwa wolność twórcza powstaje z napięcia między troską o byt a pragnieniem całkowitego wyzwolenia. *Szkoła ateńska* jest pięknym obrazem, ale nie widzę na nim groźnych konfliktów i antagonizmów ideowych. Platon wskazuje w górę; Arystoteles wskazuje w dół – ot co.

W czwartej pieśni *Piekła* Dante spotyka dusze wielkich poetów i filozofów starożytności, którzy wiedą spokojnie swój żywot pośmiertny w dostojnym zamku o siedmiu wysokich murach. Widzi, jak zbiera się tam piękna szkoła pana najwyższej pieśni, który wznosi się ponad innymi jak orzeł. W towarzystwie Homera, Horacego, Owidiusza, Lukana i swojego przewodnika Wergiliusza przechodzi przez siedem bram zamku, dochodząc do świeżej zielonej łąki. Tam widzi ludzi o spojrzeniach poważnych i powściągliwych, o wielkim dostojeństwie w swojej postawie, którzy łagodnym tonem z rzadka wymieniają między sobą słowa. Ci mieszkańcy Otchłani nie zaznają nigdy cierpienia, na które skazani są grzesznicy w niższych kręgach piekła. Ale nie zaznają również żaru, który odczuwali za życia. W ich obliczach nie widać ani smutku, ani radości:

Jesteśmy straceni i jedynie tym trapieni,
że nie mając nadziei żyjemy w tęsknocie.